



Wychodzi raz na tydzień. Kosztuje rocznie \$1.00. Dla tych co trzymają Gazetę Katolicką, wynosi przedpłata roczna tylko 50 centów. Do Europy: z Gazetą \$1,00, bez Gazety \$1,50.

Za redakcją odpowiedzialne Pol. Lit. Tow. w Chicago. Listy i korespondencje adresować należy: Polish Literary Society, albo: W. Smulski, 606 Noble Street, Chicago.

Entered at the post office of Chicago Ill., as second class matter.

APROBATA.

Niniejszem udzielam aprobatę moją piśmu "Dzień Święty" zalecam takowe jak najgoręcej naszym Polakom-Katolikom.
Chicago, dn. 3. Stycznia R. P. 1883.

P. A. FEEHAN,
Arcybiskup Chicagowski.

KALENDARZ TYGODNIOWY.

DNI:
Czwartek, 29 Listopada
Piątek, 30 Listopada
Sobota, 1 Grudnia.
Niedziela, 2 Grudnia.
Poniedziałek, 3 Grudnia.
Wtorek, 4 Grudnia.
Środa, 5 Grudnia.

KATOLICKI:
Saturnina m.
Andrzeja a., Joba.
Eligijusza b.
1 Adw. Bibijanny p., Daw.
Franciszka Ksawerego w.
Barbary p.
Piotra Chrozologa, Sabby.

SŁOWIAŃSKI:
Przemysław
Ludosław.
Samosława.
Szulisław.
Wiślimir.
Lubomila.
Spitosława.

Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus !

NA NIEDZIELĘ PIERWSZĄ ADWENTU.

Evangelia św. Łukasza w rozdziale XXI.

W owym czasie rzekł Jezus do uczniów swoich: Będą znaki na słońcu i na księżycu i gwiazdach, a na ziemi uciśnienie narodów dla zamieszania szumu morskiego i nawałności. Gdy będą ludzie schnąć od strachu i oczekiwania tych rzeczy, które będą przychodzić na wszystkich świat; albowiem mocy niebieskie wzruszone będą. A tedy ujrzą Syna człowieczego, przychodzącego w obłoku, z mocą wielką i z majestatem. A to gdy się dzieć pocznie, pogłądajcież i podnieście głowy wasze, boć się przybliża odkupienie wasze. I powiedział im podobieństwo: Spójrzycie na figę i na wszystkie drzewa; gdy już z siebie owoc wypuszczają, wiecie, że już blisko jest lato. Tak i wy, gdy ujrzyecie, iż się to będzie działo, wiecie, że blisko jest królestwo Boże. Zaprawdę, mówię wam, że nie przeminie ten rodzaj, aż się wszystko ziści. Niebo i ziemia przemina, ale słowa Moje nie przemina.

ADWENT.

Z adwentem rozpoczyna się rok kościelny. Jeżeli sobie rok kościelny wyobrazimy jako wielką i wspaniałą świątynię, z rozmaitemi oddziałami, w których bezustannie brzmi chwała Boża, natenczas adwent stanowi niejako przedśionalek tej świątyni. Tem, że Kościół początek swego roku nie rozpoczyna równocześnie z początkiem roku kalendarzowego, przedstawia się zaraz jako społeczeństwo, którego królestwo nie jest tego świata, i pokazuje, że ten, który chce być jego członkiem i przez niego być uświęconym, nie powinien życia swego urządzić według wymagań i zasad światowych, ale według przepisów i nauki Kościoła Chrystusowego. Godne uwagi są słowa, które śp. Katarzyna Enimerich wypowiedziała o roku kościelnym: "Tak samo, jak jest przyroda ziemiska z swemi stworzeniami, owocami i właściwościami, tak samo też istnieje wyższy porządek, mający na celu naprawienie upadłej ludzkości, z niezliczonymi łaskami i środkami zbawienia, przywiązany do duchowego roku i jego czasów. Corocznie, codziennie, a nawet każdej godziny dojrzewają tu te dla zbawienia naszego podane nam owoce. Syny Kościoła katolickiego, którzy z nabożeństwem obchodzą ten rok duchowy z świętami jego i uroczystościami, którzy życie swoje do jego wymagań zastosowują, — ci to jedynie podobni są do owych pracowników w winnicy pańskiej i odbierają łask nad miarę. Smutna bardzo rzecz, że tak mało ludzi uznaje ten porządek łaski i według niego żyje; ale z przerażeniem przekonują się kiedyś, czym jest rok kościelny, czym są jego uroczystości, czym święte czasy i dni, modlitwy kościelne i nabożeństwo! Wszakże to sam Boski Zbawiciel w tym porządku z nami żyje i każdego czasu daje się nam jako ofiarę i pokarm, abyśmy jedno z nim byli." I zaprawdę, jak Kościół jest Chrystusem przez wszystkie czasy z nami żyjącym i działającym, tak rok kościelny jest nieprzerwanem odnawianiem i powtarzaniem tego, co dla naszego zbawienia nauczał, działał i cierpiał.

A jakże pięknie Kościół podzielił wielkie tajemnice zbawienia na pojedyncze ustępy roku, i jak pięknymi ceremoniami otoczył powtarzające się regularnie ich uroczystości! Z tą mądrością, która według słów Pisma świętego sięga od jednego do drugiego krańca świata, i wszystko porządkuje mocą i słodyczą, zamienił rok kościelny na ogród duchowy, w którym pomimo największej różnorodności panuje największa jednostajność i regularność. Podług trzech Osób w Bóstwie, które są czynne przy dziele naprawienia upadłej ludzkości, dzieli Kościół rok swój duchowy na trzy wielkie okresy świąteczne, z których każdy ma czas wstępny i czas następny.

Pierwszym z tych okresów jest okres Bożego Narodzenia. Przedmiotem jego jest miłość Boga Ojca, "który tak bardzo umiłował świat, że Syna swego jednorodzonego wydał, aby wszyscy, którzy weń wierzą, nie zginęli, ale mieli żywot wieczny." Po tym okresie następuje okres wielkanocny, którego przedmiotem jest miłość Boga Syna, który był "posłusznym aż do śmierci, i to śmierci krzyżowej," i który przez śmierć swą i zmartwychwstanie odkupił nas od zatracenia wiecznego. Następuje potem okres Zielonych Świątek, którego przedmiotem jest miłość Ducha świętego, który według danej obietnicy Zbawiciela zstąpił na Apostołów i objął niewidzialne kierownictwo Kościoła. A zatem Boże Narodzenie, Wielkanoc i Zielone Świątki są najgłówniejszymi uroczystościami Kościoła; około nich obraca się reszta świąt i czasów, jak planety około słońca, i od nich odbierają światło, życie i znaczenie. Jakże precudny widok przedstawia w noc cichą i pogodną niebo zasiane gwiazdami! Miliony gwiazd, jedna piękniejsza i świetniejsza od drugiej, tak uroczo nam się uśmiechają, że w uniesieniu świętem, chciałbym zawołać z Psalmistą: "Oglądam niebiosa twoje, dzieła palców twoich: księżyc i gwiazdy, któreś ty fundował. Cóż jest człowiek, iżże nań pamiętasz? albo Syn człowieczy, iżże go nawiedzasz?" (Ps. 8, 4 — 5.) Ale daleko wznioślej i piękniej przedstawia nam się rok kościelny w blasku swego nabożeństwa, w dziwnem urozmaiceniu swych uroczysto-

ści, ze swym porządkiem i piękną harmonią, która wszystko w jedną wspaniałą łączy całość. Droga, którą prowadzeni przez Kościół św., przechodzimy przez te rozmaite okresy świąteczne roku kościelnego, podobna jest wędrówce ludu izraelskiego na puszcy. Idąc po ziemi nieurodzajnej, piaszczystej, naokoło niepokojeni i zagrożani przez nieprzyjaciół, ale przez Boga cudownie żywieni i prowadzeni, podzieleni na dwanaście pokoleń, mając w pośrodku siebie arkę przymierza i arcykapłana, przedstawiali Izraelici w swym pochodzie tak precyzyjny obraz porządku i jedności, że nawet Balaam, który na to przybył, aby lud ten przeklinać, zawołać musiał: "Jako piękne przybytki twoje, Jakóbie, i namioty twoje, Izraelu!" (IV Mojż. 24. 5.) A jednak lud Izraelski w pochodzie swoim do ziemi obiecanej, był tylko obrazem Kościoła nowego zakonu na pielgrzymce jego do nieba. Ale jak ślepy nie może uczuć piękności barw, a głuchy uroku muzyki, tak i rok kościelny dla tego, który nie zna jego urządzenia, ogrodem jest zamkniętym, księgą zapieczętowaną.

Dziś najwięcej nas zajmować winien czas adwentowy. Adwent znaczy tyle, co przyjsie, a czas adwentowy przypomina nam nasamprzód przyjsie Chrystusowe dla zbawienia ludzkości. "Jest bowiem, — jak mówi Bernard św. — trojakie przyjsie Chrystusowe: pierwsze gdy przyszedł na świat w tajemniczy wcielenia Słowa przedwiecznego: drugie, gdy wstępuje do każdego z osobna przez łaskę uświęcającą; trzecie, gdy się objawi w majestacie swym, przychodząc na sąd ostateczny." Ale adwent nie tylko jest pamiątką przyjsia Syna Bożego na tę ziemię, aby nas odkupić; jestto raczej ponawiające się przyjsie jego w sposób duchowy. W ten sposób przenosi nas adwent w ten czas ciemny i tęskny, który poprzedził przyjsie Chrystusowe, a w którym ród ludzki jęczący w więzach niewoli grzechowej wzdychał za Zbawicielem. Wprawia on nas w tęskne usposobienie, w którym pobożni ojcowie starego zakonu wołali: „Spuście roś niebios z wierzchu, a obłoki niech spuszcza z dżdżem sprawiedliwego! Niech się otworzy ziemia i wyda Zbawiciela!" Z tęsknotą za obiecany Odkupicielem łączy się gnę-

biące poczucie winy grzechowej, którą tylko ten mógł zgłodzić, który we wszystkim, wyjąwszy grzechu, nam się stał równym. Dlatego adwent tak samo jest czasem surowej pokuty, jak radosnego oczekiwania; a Kościół tego ducha pokuty, który panować ma przez cztery tygodnie adwentu, w ten sposób objawia, że w tym czasie, nie tylko odprawiania wszystkich godów weselnych i głośnych zabaw zakazuje, ale i kapłanów swoich ubiera w szaty fioletowe, które są symbolem pokuty. Nawet i Gloria we Mszy św. nie brzmi w niedziele adwentowe, aż je w dniu Bożego Narodzenia niejako Aniołowie sami wygłoszą. Ten charakter cichy i poważny czasu adwentowego, odbija się nawet na zewnątrz w całej przyrodzie. Jakież to ponure i mgliste powietrze! Wszędzie chłodno i pusto, jak gdyby życie wymarło; rzadko i tylko na krótki czas promień słoneczny przedziera się przez chmury. Czyż to nie jest wiernym obrazem ponurego i opuszczonego stanu ludów przed Chrystusem? Jakaż więc wdzięczność należy się Zbawicielowi, że przyszedł jako światłość świata, aby spłoszyć ciemności i nowe wzbudzić życie w sercach ludzi martwych na duszy!

Gdy słońce pojawić się ma na wschodzie, poprzedza je gwiazda zaranna i zwiastuje jego przybycie. Słońcem duchowym jest Chrystus, a gwiazdą zaranną, która to słońce poprzedziła, jest Marya. Istota więc rzeczy wymaga tego, że Kościół w adwencie wskazuje nam niepokalanie poczętą Dziewicę, która od wieków była wybraną, aby światu dała Zbawiciela. Jako gwiazda uroczą jaśniej uroczystość Niepokalanego Poczęcia Najświętszej Maryi Panny wśród ciemnego ponurego adwentu, ożywia słabnącą nadzieję i pociesza upadającego na duchu. To też radosnem uczuciem przejęci oczekiwać mamy czasu łaski, a że łaskę uświęcającą tym tylko Pan Bóg daje, którzy są serca czystego, dla tego powinniśmy w skrusze i pokucie oczyszczać serca nasze, rozpraszać ciemności duszy i topić lody, któremi te serca są spowite. A jeżeli tego nie uczynimy z tęsknoty i miłości, powinniśmy to uczynić z bojaźni na wspomnienie ostatniego przyjścia Zbawiciela w dniu sądu ostatecznego. "Duszo

chrześcijańska, — woła św. Bernard. — bliskiem jest przyjście jego i przysposabiaj mu twe serce, bo przychodzi szukać i zbawiać, co było zaginęło. Przyjmij go z miłością, gdy przychodzi do ciebie jako Odkupiciel, a i on cię przyjmie kiedyś z miłością, gdy przyjdiesz do niego, jako do sędziego swego. Zgotuj mu mieszkanie w swem sercu, a on tobie da wieczne, szczęściem przepełnione mieszkanie w niebie.“

Panowanie Władysława Zygmunta IV.

II.

Widzieliśmy z tryumfu odniesionego nad Moskwą, jakto Polska, gdy chciała, mogła się zdobyć na potęgę. Całem tylko nieszczęściem było, że nie umiano należycie uszanować władzy i obdarzać jej zaufaniem, ale każdy udział chciał mieć w rządzie, większość więc rządziła, a że większość zwykle niema znajomości potrzeb kraju, nie zna się ani na polityce, ani na ekonomii społecznej, ani na administracji, ale tylko zważa na osobiste swoje korzyści, i to korzyści chwilowe, przez to też nieład musiał w kraju panować. W ciągu dziejów ojczystych, którym się przypatrywaliśmy, zawsze to samo widzieliśmy: nie umiano i nie chciano obmyśleć środków na zaradzenie najgwałtowniejszych potrzeb kraju, na ustalenie potęgi narodu, aby na wieki całe mieć spokój i cieszyć się dobrobytem, dopiero gdy już straty były ogromne, a nieprzyjaciół złupił pół kraju, musiano się zdobyć na daleko większe ofiary, które nie zdołały już naprawić złego i tylko od dalszych chroniły klęsk. A Polska miała środki na ustalenie swej potęgi, Polska była bogatą, jak rzadko który kraj.

Kiedy podskarbi nadworny Ossoliński, wysłany od sejmiku koronacyjnego, ze świtą swoją wjeżdżał do Rzymu, natenczas rozwinął się przed oczami zdumionych Włochów niewidziany dotychczas przepych i bogactwo. Konie miały szczerozłote podkowki, które na bruku łamały się, odpadały i zostawały jako jałmużna dla ludu. Brylant na łbie wierzchowca Ossolińskiego szacowany był na 20 tysięcy duka-

tów, co na owe czasy niesłychana jest suma, pałasz jego wart był 5 tysięcy! Naród więc tak majątny i tak bitny, jak polski, mógłby być najpierwszym w Europie, a że nie umiał korzystać ze swej potęgi, nie umiał się rządzić, więc dziś cierpi i znaczy tak mało, że nawet ziemię jego wrogowie nazywają ziemią rosyjską i niemiecką, a część narodu tak jest obałamuconą, że bankrutom, którzy z własnej winy opuścili stanowiska swe wpływowe, bądź to jako właściciele polskiej gleby, lub też jako wychowujący młodzież polską, że tym uciekinierom z posterunków pozwala sobie prawie nauki o patryotyzmie i honorze narodowym!

Sułtan miał z razu zamiar całą swą siłę rozwinąć i na Polskę uderzyć, pod pozorem, że Polska Kozaków nie trzyma dostatecznie w ryzie. Tymczasem widząc, jakto Moskwa odebrała po skórze, namyślił się cokolwiek i wysłał posła swego do Polski, z poleceniem, aby zbadał położenie rzeczy i usposobienie narodu. Było to właśnie wtenczas, kiedy król w tryumfie powracał z wyprawy moskiewskiej. Szlachta uniesiona zapałem, okazała się bardzo hojną: dostarczyła wojska na wojnę turecką, a na sejmie w Warszawie, który na przedce zwołano, uchwalono taką siłę wojskową, jakiej się król wcale niespodziewał. Zaraz też pospieszył król z wojskiem na powitanie Turków, jednakże wódz turecki, usłyszawszy, jak się rzeczy mają, zatrzymał się w drodze i rozpoczął układy. Władysław wiedział dobrze, że druga sposobność do pognębienia nieprzyjaciela nie tak łatwo się nadarzy, bo nigdy nie będzie tyle wojska i tyle pieniędzy na wojnę. To też miał wielką ochotę złamać potęgę turecką, aby kraj raz na zawsze miał spokój, ale panowie szlachta, których zapał z czasem się ochłodził, dodali mu do boku szesnastu komisarzy sejmowych, którzy mieli obowiązek korzystać z każdej sposobności, aby układy przyprowadzić do skutku. Tak więc stało się, że dla chwilowej korzyści pominięto sposobność poskromienia raz na zawsze nieprzyjaciela i zgodzono się na pokój, przyczem jeszcze Polska żadnych nie odniosła korzyści, a tylko Turek odstąpił od niektórych pretensyi i wymagań.

Tymczasem trwała jeszcze w Niemczech wojna trzydziestoletnia. Gustaw Adolf jednakże już nie żył; padł on w bitwie pod Luetzen, a tron szwedzki odziedziczyła po nim małoletnia córka jego Krystyna. Nie chciał Władysław zupełnie odstąpić praw rodziny swej do tronu szwedzkiego, z drugiej strony nie pragnął też wojny niepotrzebnej, więc skoro tylko rozejm ze Szwedami się skończył, rozpoczęli pełnomocnicy obydwóch stron nowe układy. Władysław zaś tymczasem wyjechał do Prus i tam rozporządził wybudowanie dwóch nowych fortec nad brzegiem morza, oraz wystawienie nowej floty z rozbitków tej floty, która powstała za czasów ojca jego.

Układy jednakże ze Szwecyą nie przysły do skutku, bo Szwedzi domagali się, aby Krystynę uznano jako jedyną prawowitą spadkobierczynię korony szwedzkiej, na co polscy posłowie przystać nie mogli. Gdy nadto Szwecya nic nie chciała oddać Polsce z tego, co była zabrała w Prusiech i Inflantach, nie było innej rady, jak z bronią w ręku dopominać się o swoje prawa. Zwołano sejm, ale przez sześć tygodni szlachta swarzyła się na nim i kłóciła, i dopiero w ostatnich dniach uchwalono pobory na wojnę i pospolite ruszenie.

Z innej strony nie było w Polsce zgody, bo innowiercy trzymali stronę Krystyny, byli więc po prostu zdrajcami. Nawet tacy innowiercy, którzy pochodzili z Czech i innych krajów, a których Polska gościnnie u siebie przyjęła, odwdzięczyli się w ten sposób, że jeździli po kraju i namowami buntowali szlachtę przeciwko królowi, i to jeszcze przeciwko takiemu królowi jak Władysław, który nie pozwalał krzywdzić innowierców, ale ich ojcowską otaczał opieką. Że jednakże tych odszczepieńców bardzo tylko mała była garstka, dla tego nic ich agitacye nie zdziałały, a przeciwko wojsku szwedzkiemu stanęło wojsko polskie pod Grudziądzem, równe prawie szwedzkiemu co do siły. Nie przyszło jednakże do starcia, bo pośrednicy francuski, angielski i holenderski przedłużyli rozejm i nakłaniali obie strony do układów.

Warunki, jakie podawał Władysław, nie były wcale

przesadzone, ale przeciwnie bardzo skromne. Chciał on Krystynę pozostawić przy koronie szwedzkiej, ale żądał, aby tak Krystyna jak i on wstąpili w związki małżeńskie z przyjaznemi domami, i aby ich dzieci połączyły się potem węzłem małżeńskim, przez coby spór o koronę szwedzką w najprostszy sposób został załatwiony. Dalej domagał się Władysław najsluszniej, aby Szwecya oddała to, co zabrała była w Prusiech i przynajmniej dwóch trzecich części Inflant. Szwedzi o tych warunkach siuchać nie chcieli i zgadzali się tylko na oddanie zagrabionej ziemi w Prusach.

Władysław gotów był do wojny, mianowicie, że najdogodniejsza nastęczała się pora. Wojska bowiem szwedzkie zostały w Niemczech na głowę pobite; Szwedzi mieli teraz małoletnią królową, brak zdolnych wodzów, wojska marne i osłabione, tak że w armii szwedzkiej w Prusach była tylko obdarta i bosa hołota. Mógł był więc Władysław bez wielkiego trudu zgnieść Szweda i odebrać mu wszystko, co tenże był zagrabił. Ale inaczej myślała szlachta polska. "Po co," mówili sobie, "mamy się bić i wystawiać na koszt, kiedy bez nich mamy Prusy całe, o które nam najwięcej chodzi? Pal sęk Inflanty całe, bez nich się obejdzimy. Zresztą skoro tylko będziemy mieli Prusy, to już nie będzie trudno o Inflanty, bo skoro tylko wypoczniemy i wytchniemy, odbierzemy je z procentem!" Więc poczęli krzyczeć, aby przyjęto warunki szwedzkie i natychmiast wojsko rozproszono, a nikomu na myśl nie przyszło, że skoro teraz, gdy Szwecya na śmierć jest osłabiona, Polska nie odbierze Inflant, natenczas nigdy się to nie stanie, bo dogodniejszej chwili w ogóle być już nie mogło.

Władysław opierał się jak mógł, ale ostatecznie musiał podpisać układy pośredników w Sztumsdorfie, według których rozejm ze Szwedami ustanowiony był na lat dwadzieścia i sześć. Prusy zostały odzyskane, a Inflanty dobrowolnie stracone, a co najgorszego, że Szwecya nie złamana, miała czas przyjść do siebie, porosnąć w pierze i ukarać Polaków za tę głupotę, jak to się stało za następcy Władysława, Jana Kaźmierza, gdy Szwedzi wkroczyli do Polski, i całej prawie

Polsce byli panami, bo nawet wojsko polskie poddać się im musiało! O tem opowiemy w swoim czasie.

Inne jeszcze głupstwo zrobili nasi ojcowie. W tym czasie była najdogodniejsza chwila wzmocnienia granic Polski i pozbycia się niedogodnych gości. Moskwa była złamaną. Turcyja nie śmiała podnieść głowy, Szwecya mogła być zgniecioną, a Niemcy osłabione były trzydziestoletnią wojną; ostatecznie wymarła rodzina książąt pomorskich, lenników Polski, przez co Pomorze znowu wróciło do Polski. Mogli więc byli Polacy ubezpieczyć granice na południe, wschód i północ, nadto mogli bardzo łatwo za jakie ustępstwo odebrać Szląsk aż do rzeki Odry. I zdradzieckiego księcia pruskiego mogła być wtenczas Polska się pozbyć, odstępując mu w lennictwie Pomorze, a Prusy wyłącznie zachowując dla siebie. Tymczasem wszystko zaniedbano, aż książę pruski zrobił się królem pruskim i pomógł Moskwie zjeść Polskę! Słusznie też powiada znakomity historyk, że Polska nie miała żadnej polityki, żyła tylko z dnia na dzień, a doświadczenie uczy, że gospodarstwo takie z dnia na dzień do niechybnej prowadzi zguby.

(C. d. n.)

Kto pod kim dołki kopie sam w nie wpada.

Napisał LEON KOCIAŁKOWSKI.

(Ciąg dalszy.)

Że Pankracy przez całą noc usnąć nie mógł, nic dziwnego; najrozmaitsze myśli snuły mu się po głowie; gdy zmrużył oczy i zaczął usypiać, zdawało mu się, że leży w Krakowie w celi chorych; — to znów, że brat jego wypycha go za ogromną jakąś bramę żelazną, by ją na zawsze za nim zatrzasknąć; — zerwał się z łóżka i pobiegł do okna. — Na wschodzie zaczęło świtać; ranek prześliczny zwiastował dzień piękny, — który o mało miał być dla niego tyle nieszczęśliwym. Cóż uczynić? że się nie pozwoli zamknąć podstępemu bratu, wiedział jak najdokładniej, ale płazem puścić mu te wszystkie ochydne zamiary? — nie, w żaden sposób

uczynić tego nie mogę, pomyślał sobie Pankracy, ukarać muszę jego nienasyconą chciwość, upokorzyć muszę jego obrzydłą pychę i próżność, ale jak? Ha! "kto pod kim dołki kopie sam w nie wpada," mruknął do siebie Pankracy i snąć myśl jakaś szczęśliwa zawitała mu do głowy, bo aż podskoczył na krzeselku z radości. — Z trwogą obejrzał się na brata, czy go przypadkiem nie zbudził, ale ten spał, dzięki wczorajszemu wieczorowi, jakby się był co dopiero położył. — Pankracy spojrział na zegarek, była czwarta; umył się po cichu; ubrał się szybko i wyszedł zamknawszy pokój na klucz. Służącemu, który na ganku bóty czyścił, przykazał, aby do jego powrotu ani on sam, ani nikomu niepozwolił brata obudzić.

Pankracy obszedł miasteczko; z rzewnością witał dawne znajome mu uliczki, domki i kamienice, których od lat piętnastu nie widział; skierował potem kroki swe ku zakładowi obłąkanych. — Szósta wybiła na zegarze wieżowym, gdy Pankracy schwycił za dzwonek u fórty. Wyszedł służący i zapytał czegoby żądał.

„Czy nie mógłbym pomówić w nader ważnej sprawie z dyrektorem zakładu?“ zapytał Pankracy.

„„Pójdę pana zameldować,““ rzekł służący.

Za dziesięć minut wszedł Pankracy do bióra dyrektora.

„Jestem Bonifacy Lisek, burmistrz z N.“ rzekł Pankracy, przedstawiając się dyrektorowi, „mam brata, który cierpi na umyśle, chciałem go tu dziś umieścić w pańskim zakładzie.“

„„Masz pan papiery jakie, może świadectwo lekarza miejscowego?““ zapytał dyrektor.

„I owszem,“ odrzekł Pankracy, „mam, ale nie ze sobą; przy oddaniu chorego wręczone je panu.“

„Dobrze — powiedz mi pan, jakiego rodzaju jest cierpienie brata pańskiego?““

„Cierpiał on już od sześciu lat na umyśle; pięć lat był w zakładzie obłąkanych w Krakowie; wyzdrowiał i wypuszczono go. Nie dawno powrócił do mnie i zdaje mi się, że choroba jego powróciła. Okazuje się w cichej melancholii,

oprócz tego mieni się być moją osobą, przybiera sobie moje nazwisko i mój urząd. Póki mu nikt nie przeczy, dopóty jest spokojny, jak tylko kto usiłuje wybić mu z głowy błąd jego, natychmiast wpada w złość, która go często do wściekłości doprowadza. Obawiam się, by obłąd jego, aczkolwiek obecnie spokojny, niewyrodził się w coś gorszego, niebezpieczniejszego, dla tego chciałem go tu ulokować.“

„„Rozumiem,““ odrzekł dyrektor; „„różne to mają manie i uwidzenia ci nieszczęśliwi. Kiedyż go pan myślisz przyprowadzić?““

„Dziś w każdym razie, o którym czasie, nie wiem jeszcze dokładnie, bo muszę panu oznajmić, że chory mój nic nie wie o moim zamiarze i fortelem tylko będę go tu chciał sprowadzić. — Aby go zupełnie omylić, oddam mu papiery, dotyczące się jego osoby, by je panu sam wręczył.“

„„Dobrze, dobrze,““ odrzekł dyrektor, „„dla bezpieczeństwa będę miał w pogotowiu dwóch, którzy go w razie oporu zmuszą do posłuszeństwa; oczekuję więc pana z jego pacjentem; ale, ale, jak się nazywa chory?““

„Pankracy Ptasieński.“ Dyrektor zapisał sobie nazwisko, Pankracy uklonił się i odszedł.

„Bonifacy! Bonifacy! wstawajże śpiochu! Słońce już dawno na niebie, a ty jeszcze śpisz!“ wołał Pankracy na śpiącego ciągle brata, trzęsąc nim całym; — pan Bonifacy ziewnął, otworzył oczy, przetarł je; — zmiarkował się wreszcie gdzie jest, przypomniał sobie po co do O. przybył i — sięgnął do kieszeni, w której były papiery. Pankracy, któremu ten ruch nie uszedł, uśmiechnął się w duszy, posunął ku oknu i z najobojętniejszą miną przypatrywał się ruchowi na ulicy.

„„Ładny dziś dzień?““ zapytał pan Bonifacy.

„Zdaje się“ odmruknął Pankracy.

„„Dawnoś wstał?““

„Niedawno.“

„„Nie piłeś jeszcze kawy? — no to dobrze, wypijemy razem, a potem przejdziemy się na przechadzkę. Głowę mam od wczoraj ciężką, a do moich interesów muszę ją mieć lekką; trochę świeżego powietrza przyda mi się bardzo!““

„Z pewnością,“ odrzekł Pankracy.

Usiedli do kawy, którą im służący był przyniósł; pan Bonifacy zaczął narzekać na wczorajszy wieczór, który mu zupełnie humor zepsuł. „„Przejdziemy się na przechadzkę,““ mówił do Pankracego; „„może w stronę ku zakładowi, nie widziałem go jeszcze wewnątrz, a ciekawy jestem poznać jego urządzenie.““

„Możesz się przejść,“ odrzekł krótko Pankracy.

„„Ale ja myślę, że pójdziesz ze mną; znasz urządzenie podobnego domu. — Możesz porównać, czy nasz lepiej, czy gorzej urządzony od tamtego w Krakowie.““

„Nie mam chęci do podobnych porównań i przypominania sobie najniezwyklejszych chwil, które przechodziłem w życiu...“

Z przerażeniem spojrzał nań pan Bonifacy. „„Ależ Pankrasiu kochany, nie chciałem ci robić przykrości, przypominając ci pobyt twój w Krakowie, myślałem sobie...““

„Dobrze; dla przyjemności twojej pójdę z tobą, ale proszę cię wprzód o papiery moje legitymacyjne, które będę w sądzie potrzebował.“

Pan Bonifacy wydobył paczkę, wyjął z niej kilka zwiniętych papierów i oddał je Pankracemu. (Dok. n.)

Sprawiedliwa nauczka.

Fryderyk VII, król duński, odznaczał się wielką ludzkością i popularnością. W roku 1840 był Fryderyk jeszcze następcą tronu, a zarazem gubernatorem wyspy Fuenen i komenderującym generałem znajdujących się tamże pułków. Dwór jego był w zamku Odensee i tam według zwyczaju swego wesołe prowadził życie. Pewnego dnia po południu szedł przez dziedziniec zamkowy i spostrzegł tamże wieśniaka z bryczką, który widocznie na kogoś czekał. Natychmiast wdał się z nim w rozmowę, i dowiedział się, że major R., z wioski o dwie mile odległej, gdzie w czasie ćwiczeń wojskowych miał kwaterę, przybył tudotąd, aby odwiedzić

jednego z swych kolegów, mieszkających w zamku. Była to podwoda obowiązkowa, jakie wieśniacy oficerom w czasie manewrów musieli dostarczyć. Dowiedziawszy się o wszystkim, poszedł książę do swych zatrudnień, króre trwały do godziny dziesiątej wieczorem. Wtenczas książę powtórnie udał się na dziedziniec, aby w powozie swym pojechać na bal. Tu spostrzegł ku wielkiemu swemu zadziwieniu, że chłopiec jeszcze stał na tem samym miejscu i tak samo, jak szkapiny jego, smutnie zwieszoną miał głowę. Fryderyk pojechał na bal i powrócił o 4 z rana. I jeszcze stała podwoda na starem miejscu i czekała na majora R. Wtenczas książę zbliżył się do chłopka, dał mu dukata i kazał mu nie czekać dłużej na majora. Chłopiec podrapał się w głowę i zauważył, że to nie pójdzie, bo pan major wielki gorączka, a on naraziłby się na straszne skutki jego gniewu. Ale gdy mu książę oświadczył, że całą odpowiedzialność bierze na siebie, zdobył się stary na odwagę i pojechał bez majora do domu.

W kwadrans potem przyszedł major i w okrutny popadł gniew, gdy się przekonał, że podwoda go odjechała. Nie było więc innej rady, jak resztę nocy przepędzić w zamku. Rychło z rana przychodzi do niego adjutant i wzywa majora na godzinę 8 na posłuchanie do księcia. Posłuszny wezwaniu stawił się o naznaczonym czasie w przedpokoju. Po dwugodzinnem czekaniu dowiedział się od słodko uśmiechniętego adjutanta, że Jego Królewska Mość jeszcze nie ma czasu przyjąć go i że jeszcze musi zaczekać. Major czekał więc, podczas gdy książę wypoczywał na tapczanie po trudach balu. O godzinie 12 przeniesiono około czekającego majora przepyszne śniadanie do pokoju książęcego. — Aha, — pomyślał sobie major, — chciał mię zaprosić na śniadanie, to wielki dla mnie zaszczyt. —

Tymczasem nikt go nie zaprosił ani na śniadanie, ani na obiad, który był o godzinie czwartej. Wreszcie po dwunastogodzinnem czekaniu, gdy major prawie umierał z głodu i znużenia, przypuszczono go do księcia, który go bardzo grzecznie przyjął, wywiadywał się o jego zdrowie, o rodzinę

i z największą uprzejmością rozmawiał o najobojętniejszych rzeczach. Major nie mógł wcale pojąć, co miała znaczyć ta obojętna audyencya, na którą dwanaście okropnych godzin czekać musiał, i wreszcie ośmielił się zapytać o powód. — Ach, — odrzekł książę z uśmiechem, — to drobnostka, chciałem panu tylko powiedzieć, panie majorze, że temu biednemu chłopkowi, który za panem dwanaście godzin w dziedzińcu czekać musiał, kazałem pojechać do domu. Samo się przez się rozumie, że mu pan nie będziesz robił żadnych nieprzyjemności, bo on to na mój wyraźny rozkaz uczynił. —

Teraz dopiero wyjaśniło się majorowi, jaki był powód tej osobliwszej audyencyi i w największym był ambarasie. Jąkając się chciał się uniewinnić, ale książę temi go pożegnał słowy: — Panie majorze, chłopak jest człowiekiem tak samo, jak i my, i nie wypada, aby oficer nadużywał w obec niego swej władzy. Bądź pan zdrow i niech to będzie dla pana nauką na przyszłość. —

Warte naśladowania.

Liczni goście siedzieli w hotelu przy obiedzie; pomiędzy nimi najwięcej było oficerów załogi miejskiej. Rozmowa była ożywiona i wesola.

W tem wszedł do sali młody, przystojny mężczyzna, elegancko ubrany; był to właściciel dóbr z okolicy. Przystąpiwszy do stołu, przystanął, przeżegnał się i zmówiwszy krótką modlitewkę, zasiadł do stołu. Wszystkich oczy zwróciły się ku niemu. Jedni patrzeli zadziwieni, drudzy po cichu robili jakieś uwagi, większa część uśmiechała się pogardliwie, aż ostatecznie głośno poczęto robić uwagi.

Młodzieniec, który zabrał się do zupy, z największym spokojem spojrział do koła.

— Moi państwo, — zapytał, — dla czego tak się śmiejecie? Czyż ja wam dałem powód do tej wesołości?

— Ach, — odpowiedział na to młody oficer, — jakże się nie śmiać, gdy pan takie wyprawiasz komedye?

— A więc z tego się państwo śmiejecie? — odrzekł młodzieniec. — No, to pewna, że dzieciak i ostatni tchórz potrafi w towarzystwie czterdziestu osób śmiać się z jednej, ale w obec szyderstw i drwin całego towarzystwa czynić to, co nakazuje obowiązek i sumienie, to tylko mąż uczynić zdoła. Jestem katolikiem, nie wstydzę się mej wiary i chętnie dziękuję Panu Bogu za te dary, które z jego łaski pożywam.

Wszyscy zamilkli, oficer zaambarasowany spoglądał na swoich towarzyszków, a młodzieniec niezadługo wybawił wszystkich z ambarasu, rozpoczynając inną pogadankę, przy czem poznali wszyscy, że mają przed sobą człowieka z wykształceniem i nauką. Gdy potem nieco rychlej przed skończeniem obiadu wstał od stołu i znowu się przeżegnał i modlił, zachowali wszyscy głębokie milczenie, a niektórzy nawet przez ten czas jeść przestali. Kłaniając się grzecznie wszystkim wyszedł ze sali, a nikt nie ośmielił się zrobić po jego odejściu o nim jakiegokolwiek uwagi.

FRASZKI.

W czasie powstania w roku 1863 denucyonowano żyda w Lubelskeim przed jenerałem moskiewskim, że powstańcom robił orzelki polskie do czapek. Posłał więc jenerał zaraz dwóch żołdaków z bagnetami po owego żydka, aby się usprawiedliwił. Przyprowadzono przeleknionego żyda przed jenerała, który mu mówi:

— Jesteś oskarżony, na co są świadkowie, że robiłeś powstańcom orzelki polskie do czapek. —

— Ny, Jaśnie Panie Jenerale, ja pocziwy żydek — ny takie głupstwa! ny, Jaśnie Panie Jenerale! czy to być może, ja taki pocziwy! —

— Brednie pleciesz żydzie, są świadkowie. —

— Ny, Jaśnie Jenerale, oni tylko psiśli, żeby ja robił orzelków, ale ja nie głupi, nie robił orzelków, to było same kogutki, ja taki pocziwy. —

Na ten dowcip żydowski rozśmiał się jenerał, dał mu spokój, ale zakazał dla powstańców robić i kogutki.

Otwartość. Mały Karolek zrobił w książce żyda, a nauczycielka chcąc go przyzwyczaić do utrzymania schludnie książek, gani jego nieostrożność i powiada: "Gdy ja w młodości splamiłam książkę, to zawsze zaczęłam płakać." "Doprawdy?" pyta Karolek. "Tak jest!" "No — oświadcza Karolek, — ja taki głupi nie jestem."
